

## O POJEDNANIU SCEPTYCZNIE

Słowo „pojednanie” weszło do języka politycznego przede wszystkim jako określenie charakteryzujące zbliżenie francusko-niemieckie po II wojnie światowej. Pojawiało się ono także, ostatnimi czasy coraz częściej, przy opisie relacji polsko-niemieckich. Z upodobaniem posługiwał się nim kanclerz Kohl podczas wizyty w Polsce (1989). Mówił on wówczas o „dziele pojednania”, o „poszukiwaniu dróg pojednania”, „wykorzystywaniu każdej szansy pojednania”, „poszerzaniu pomostu pojednania”, o tym, że „Europa potrzebuje porozumienia i pojednania naszych narodów. Premier Mazowiecki nieco oszczędniej odwoływał się do tego pojęcia, ale i on wskazywał na potrzebę „woli pojednania” i konieczność „rozbudowy bazy porozumienia i pojednania”. W umowie o wymianie młodzieżowej (10 XI 1989) obydwie strony wyraziły przekonanie, iż wymiana ta będzie „pogłębiać wzajemne zrozumienie, pomagać w przezwyciężaniu uprzedzeń, aby w ten sposób przyczynić się do normalizacji, współpracy i porozumienia i przez to wkroczyć na drogę do pojednania”. We wspólnej deklaracji kanclerza Kohla i premiera Mazowieckiego z 14 listopada 1989 r. znalazła się wzmianka o dążeniu do „zalecenia ran przeszłości poprzez porozumienie i pojednanie”. W traktacie o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy (17 VI 1991) wyrażono przekonanie, iż obydwa narody żywią od dawna „pragnienie porozumienia i pojednania” i że „wzajemne poznanie i zrozumienie młodych pokoleń ma podstawowe znaczenie dla nadania trwałego charakteru porozumieniu i pojednaniu narodów polskiego i niemieckiego.

Pojęcie to jest w gruncie rzeczy bardzo nieostre i występuje w bardzo różnych kontekstach znaczeniowych. Czasami można odnieść wrażenie, iż w języku polskim na dobre zadamawia się jeszcze jedno słowo-wytrych, które bywa odnoszone do odległych sfer rzeczywistości, zależnie od tego, jaką orientację polityczną reprezentuje jego użytkownik. Nie trudno zauważyć, iż „pojednanie” w rozumieniu nacjonalistycznego Polskiego Związku Zachodniego nie ma nic wspólnego z „pojednaniem”, o którym pisali i mówili katoliccy politycy z kręgu Unii Demokratycznej, od wielu lat pracujący nad zbliżeniem polsko-niemieckim. Działaczom rozlicznych partii ludowych „pojednanie” najwyraźniej kojarzy się z materialnym zadośćuczynieniem, z odszkodowaniami, jakie Niemcy powinni wypłacić Polakom poszkodowanym przez wojnę. Niektórzy „prawdziwi” Polacy dorzuciliby w tym miejscu zapewne postulat ograniczenia praw i aktywności niemieckiej mniejszości, której zresztą często odmawiają zarówno miana mniejszości, jak i niemieckiej. Politycy nawiązujący do tradycji endeckich w ogóle uważają „pojednanie” za pojęcie zupełnie nie relewantne wobec stosunków polsko-niemieckich, które według nich skazane są na wieczną wrogość.

„Pojednanie” to termin charakteryzujący wychodzenie narodów z traumatycznej wrogości; w tym sensie można mówić o „pojednaniu” między Francuzami i Niemcami, między Żydami i Niemcami, między Polakami i Niemcami. Nie wydaje się natomiast, żeby za pomocą tego pojęcia można było precyzyjnie opisać relacje między państwami lub swobodnie w nich działającymi instytucjami. Państwa po wojnach zawierając stosowne układy i „normalizując” stosunki likwidując przyczyny



i skutki konfliktu. Językowym dziwactwem byłoby mówić o „pojednaniu” lub „normalizacji” w odniesieniu do przedsięwzięć, uniwersytetów i szkół nawiązujących różnego rodzaju kontakty. Instytucje tego pokroju albo odnawiają, albo też ustanawiają „współpracę”. „Normalizacja”, „współpraca” i „pojednanie” to pojęcia odnoszące się do rozmaitych sfer i różnych podmiotów w stosunkach międzynarodowych. Wspólne jest im to jedynie, iż opisują one względnie niski próg relacji między państwami, instytucjami i narodami. Od „normalizacji” jest jeszcze bardzo daleko do „specjalnych stosunków” lub „sojuszu”, tak samo jak wiele dzieli nawiązanie „współpracy” od szeroko zakrojonej „integracji” nie mówiąc już o bardzo długiej drodze, jaka wiedzie od „pojednania” do „przyjaźni”.

Niewątpliwie „pojednanie” w dużym stopniu zależy od wcześniejszej lub jednoczesnej „normalizacji” oraz od ustanowienia możliwie rozległej „współpracy”. Ale zależność ta nie działa w sposób automatyczny. Można sobie doskonale wyobrazić „normalizację” za którą wcale nie pójdzie szybkie „pojednanie”. Państwa mogą wchodzić zaskakująco łatwo w dobre stosunki, jeśli wymusza to konstelacja międzynarodowa. Dowodzą tego chociażby relacje między mocarstwami zachodnimi a RFN z jednej strony oraz między Związkiem Radzieckim a NRD — z drugiej. Zmiany w postawach społecznych, jeśli mają być dogłębne i trwałe, wymagają zarówno wstrząsu psychicznego, jak i wieloletniej, długoterminowo pomyślanej pracy edukacyjnej. W sferze państwowej PRL i NRD były połączone sojuszem, ale przecież nie sposób powiedzieć, ażeby udało się dzięki temu przewyciężyć lub choćby tylko wyciszyć wrogość i nieufność między społeczeństwami obu krajów. Co więcej, władze PRL i NRD nie były tym nawet specjalnie zainteresowane a niekiedy wręcz, mniej lub bardziej jawnie, podsycały wzajemną niechęć. W zasadzie także „współpraca” między instytucjami, z natury obejmująca tylko wybrane i wyraźnie nią zainteresowane grupy, nie wymaga zaawansowanego „pojednania” — decydującą rolę spełniają w tym wypadku wspólnota interesów i wymierne korzyści. Żadne przejawy wrogości Niemców do Polaków, tak często demonstrowane w ciągu minionych trzech lat, nie przeszkadzały tym ostatnim w robieniu dobrych interesów z niemieckimi partnerami. Do pewnego etapu „normalizacja” i „współpraca” nie wymagają i nie generują „pojednania”.

„Pojednanie” ze względu na to, że dokonuje się w obolałej i nie zawsze obliczalnej sferze psychicznej, stanowi proces niezmiernie delikatny, wymagający długotrwałych wysiłków, trudny do przeprowadzenia; rezultaty nawet wieloletniej pracy mogą się nagle okazać kruche i zawodne. Przyjaźń wymaga zazwyczaj żmudnych zabiegów i musi być stale pielęgnowana, wrogość przychodzi szybko i łatwo, bez wysiłku. Symptomy narastającego „pojednania” są mało czytelne i niezbyt wiarygodne, objawy wrogości cechuje wyrazistość i uchwytność. Kiedy właściwie można mówić o „zgodzie”, która powinna być uwieńczeniem „pojednania”? Gdy następuje wyrównanie krzywd i zatarcie ich w pamięci narodowej? Gdy dawne krzywdy otoczone zostają psychicznym dystansem i zanika emocjonalne podejście do konfliktów w przeszłości? Gdy obydwie strony przezycięją przeszłość, jeśli to mętne określenie ma w ogóle jakiś konkretny sens? Gdy zanikną po obu stronach negatywne stereotypy, uprzedzenia, nieufność, niechęć i chorobliwa podejrzliwość? Gdy w skali masowej pojawi się gotowość do nieskrępowanych kontaktów międzyludz-



kich i w odczuciu społecznym dawny protagonista przekształci się w „dobrego”, „sympatycznego”, „przyjacielskiego” partnera? A może po prostu: gdy wymrą generacje bezpośrednio zaangażowane w konflikt?

„Pojednanie” może się dokonać tylko w rezultacie obopólnego trudu narodu polskiego i niemieckiego, ale trud ten musi być najpierw i przede wszystkim skierowany na uporanie się z samym sobą. Nie jest dobrze, gdy któraś ze stron zajmuje się wyłącznie diagnozowaniem złego stanu partnera i podpowiadaniem mu terapii, zwłaszcza gdy sama znajduje się w nie najlepszej kondycji. Przykre i kontrproduktywne było poczucie wyższości moralnej okazywane Niemcom przez Polaków. W przeszłości znajdowało to czasami wyraz w groteskowych pouczeniach, co powinni i czego nie powinni robić Niemcy. Ubolewano niegdyś nagminnie nad wadami demokracji zachodnioniemieckiej w kraju, który dostarczał wszelkich wzorów, tylko nie demokratycznych. Obecnie, uzasadnione przecież zmartwienie i zaniepokojenie niezwykle silną falą ksenofobii w RFN, znów zdaje się zachęcać do belferskich pouczeń, tak jakby w Polsce rozliczono się moralnie z komunistyczną przeszłością, wyeliminowano nacjonalizm, wrogłość do obcych, prymitywny antysemityzm i nieprawdopodobną megalomanię wyrażającą się w atakach na hasło „powrót do Europy”. Nie wyobrażam sobie „pojednania” bez krytycznego spojrzenia na własne uprzedzenia i przesady, bez odrzucenia niektórych polskich mitów historycznych i trzeźwego spojrzenia na teraźniejszość.

Skłócone niegdyś narody mogą naturalnie okazywać zróżnicowaną gotowość do „pojednania”. Nie ulega wątpliwości, iż generalnie w całym okresie powojennym Niemcy jako naród i państwo (RFN) byli znacznie bardziej zainteresowani „pojednaniem” niż ich sąsiedzi. „Pojednanie” leżało w czystym interesie rządu zachodnioniemieckiego, który poza wszelkimi innymi względami, znakomicie doceniał znaczenie moralnej legitymacji w działalności na arenie międzynarodowej. Bonn przykładowało wielką wagę i usilnie promowało „pojednanie” niemiecko-żydowskie i niemiecko-francuskie, ponieważ były one Niemcom potrzebne nie tylko dla własnego zdrowia psychicznego i stworzenia silnego zaplecza dla demokracji, ale także dlatego, że umożliwiało to wejście na równych prawach do społeczności międzynarodowej. Nawiasem mówiąc starania RFN spotykały się ze sporą rezerwą Izraela, podobnie zresztą, jak i później PRL. Rządy izraelski i PRL okazywały ten chłód z różnych powodów, ale w obu przypadkach niemałą rolę odgrywało dążenie do zachowania wygodnego narzędzia presji moralnej. Warto też zwrócić uwagę, że Niemcy nie przywiązywali szczególnego znaczenia do „pojednania” z Cyganami, choć w czasie wojny prowadzili wobec nich politykę masowej eksterminacji. Trochę złośliwie można powiedzieć, iż nie cenili widać świadectwa moralności wystawionego przez Cyganów.

W całym okresie powojennym w stosunkach polsko-zachodnioniemieckich i polsko-wschodnioniemieckich nigdy właściwie nie doszło do zsynchronizowania „normalizacji”, „współpracy” i „pojednania”. Ciekawie od tej strony zarysowała się sytuacja pod koniec lat osiemdziesiątych. Stosunki na szczeblu państwowym między PRL i RFN uległy zamrożeniu, między PRL i NRD pozostawały tradycyjnie chłodne, współpraca gospodarcza i kulturalna wyraźnie kulała i na tym tle zrodziło się nieco złudne wrażenie dużego postępu na drodze ku zbliżeniu między obu społeczeństwami. Wydaje się, że w 1989 r. z tej właśnie perspekty-



wy oceniał wówczas sytuację zarówno kanclerz Kohl, jak i premier Mazowiecki. W ich wspólnym oświadczeniu z 14 listopada 1989 r. znalazło się bardzo znamienne stwierdzenie: „Stosunki między ludźmi rozwinęły się szybciej i bardziej wszechstronnie niż stosunki między obu państwami”. W tym okresie bardziej się obawiano komplikacji związanych z uregulowaniem sprawy granic i statusu mniejszości niemieckiej niż nastrojów antyniemieckich w Polsce i antypolskich w Niemczech. Tymczasem od 1989 r. między obu krajami następuje systematyczne zacieśnianie powiązań na szczeblu państwowym; dobrze — choć jak na potrzeby trochę za wolno — rozwija się współpraca między instytucjami niemieckimi i polskimi, i jednocześnie w relacjach między obu społeczeństwami pojawiają się niepokojące zgrzyty, świadczące, iż „pojednanie” jest sprawą wciąż aktualną, której nie można odesłać do lamusa historii.

W chwili obecnej mamy do czynienia z dość smutnymi paradoksami. Na pewno zaistniała, właściwie po raz pierwszy od czasu wojny, szansa rzeczywistego „pojednania”. Oddziaływająca traumatycznie pamięć o wojnie (w przypadku Polaków) i zmianach terytorialnych (w przypadku Niemców) straciła wiele ze swej ostrości, choć przyznać trzeba, że nie całkiem wygasła. Nastąpiło też uregulowanie najbardziej spornych kwestii w stosunkach międzypaństwowych, co powinno znacznie ułatwić zbliżenie na płaszczyźnie międzyludzkiej. Przede wszystkim jednak obydwa narody mogą wreszcie swobodnie dawać wyraz swoim odczuciom, co jest warunkiem *sine qua non* wszelkiego porozumienia w sferze społecznej. Trudno sobie wyobrazić „pojednanie” między ludźmi reagującymi nieautentycznie, a tak w istocie zachowywało się zarówno społeczeństwo polskie, jak i niemieckie. Pamiętać też trzeba, że naród polski w znacznej mierze ulegał wyjątkowo perfidnej manipulacji obrazem Niemiec i Niemców, która służyła legitymizowaniu sojuszy z ZSRR (motyw obrony przed zagrożeniem niemieckim), panowania PZPR (motyw jedyne gwarant status quo) oraz walki z opozycją demokratyczną (motyw zdrady narodowej polegającej na współpracy z Niemcami). Autentyczne pojednanie między narodami żyjącymi w systemach totalitarnych wydaje się być w ogóle niemożliwe, po prostu dlatego, że istota tych systemów polega na kontrolowaniu i manipulowaniu zachowaniami społecznymi.

Wolność uzyskana przez społeczeństwo polskie i niemieckie stwarza jednak tylko pewną szansę i wcale nie przesądza o sposobie, w jaki zostanie ona spożytkowana. Umożliwia ona zmanifestowanie postaw zarówno wrogich, jak i pojednawczych. Zwraca uwagę, że obydwa społeczeństwa zaczęły w 1989 r. odreagowywać długotrwały brak wolności w niejednakowy sposób. Po latach zadekretowanej i oficjalnie narzucanej „przyjaźni”, mieszkańcy NRD nareszcie mogli dać upust tłumionej wrogości do Polaków i naturalnie skorzystali z tej sposobności. Antypolskie ekscesy były wówczas dziełem małych grup, ale można było odnieść wrażenie, iż cieszą się one cichą aprobatą sporej części społeczeństwa wschodniemieckiego. W Polsce wyrazem dążenia do wolności było zakwestionowanie antyniemieckiej propagandy i podanie w wątpliwość ustaleń firmowanych przez tzw. niemcoznawców. W tym kierunku poszły jednak tylko elity intelektualne, podczas gdy większość społeczeństwa zachowywała postawę wyczekującą. W każdym razie wypowiedzi Adama Michnika i Bronisława Geremka w 1989 r. na temat zjednoczenia



Niemiec nie spotkały się z przesadnie entuzjastycznym odbiorem. Być może część społeczeństwa wciąż wówczas wierzyła propagandzie PZPR, iż ci dwaj politycy działają za pieniądze zachodnioniemieckie i że ich skrytym celem jest sprzedanie Niemcom zachodniej Polski. Ważne było jednak to, że w 1989 r. złamany został w Polsce monopol jednej siły politycznej na kształtowanie obrazu Niemiec i Niemców.

Nie sądzę, aby obecny rozwój wydarzeń w Niemczech stwarzał dobry klimat do „pojednania” z narodem polskim. W b. NRD niestety euforii zjednoczeniowej aż nazbyt wyraźnie towarzyszyła erupcja wrogości do Wietnamczyków i Polaków. Fala ksenofobii znalazła potem dobrą pożywkę we frustracjach społeczeństwa wschodnioniemieckiego i poczynając od 1989 r. ulega ona systematycznemu nasileniu. W dodatku nieopatrna „wojna na górze” w sprawie prawa azylowego zaowocowała w całych Niemczech nacjonalistycznym „szałem na dole”. Objawy nienawiści wobec ludności kolorowej, agresja wobec azylantów, napady na turystów polskich przybierają rozmiary, których nie można bagatelizować. Przyzwalająca postawa części społeczeństwa, nieporadność głównych sił politycznych i jak dotąd, brak zdecydowanej reakcji władz państwowych — to wszystko musi niepokoić. Ale jednocześnie nikt nie ma wątpliwości, iż partie reprezentowane w *Bundestagu* potępiają nacjonalizm i są zainteresowane co najmniej jego wyciszeniem. Postawie polityków niemieckich dał najlepszy wyraz prezydent von Weizsäcker składając w Kolonii wizyty w domach zamieszkałych przez azylantów. Czy zresztą można byłoby sobie wyobrazić prezydenta von Weizsäckera wygrywającego nastroje ksenofobijne lub czyniącego aluzje o wydźwięku antysemickim? Nie milczą również środki masowego przekazu, wręcz odwrotnie ksenofobia jest dyżurnym tematem telewizji zachodnioniemieckiej. Stanowisko elit politycznych i intelektualnych w RFN może więc napawać pewną nadzieją na przyszłość.

Wbrew pozorom sytuacja w Polsce przedstawia się chyba gorzej, mimo że nacjonalistyczne wybryki przybierają tu na razie formy mniej drastyczne. Zdumiewa przede wszystkim rozległość i uporczywość antysemityzmu, niczym nieskrępowany nacjonalizm dający o sobie znać w trakcie kampanii wyborczej do sejmu, pogrom Cyganów w Mławie, nad którym polska opinia szybko przeszła do porządku dziennego i odruchy irracjonalnej wrogości do „Europy”. Co gorsze, wszystko to jest nie tylko tolerowane, ale wprost podsycane przez niektóre koła polityczne. Wałęsa w czasie kampanii prezydenckiej jawnie posługiwał się hasłami antysemickimi, zabarwiając je przy tym bardzo silną wrogością do elit intelektualnych. Zażenowanie mogą budzić coraz to nowe, antysemickie wypowiedzi kardynała Glempa. W dodatku milczą intelektualiści, najwyraźniej sparaliżowani niewybrednymi atakami za nieliczenie się ze zbiorową mądrością Polaków. Warto przypomnieć, iż brutalna napaść Wałęsy na redaktora Turowicza była mściwym odwetem za apel opublikowany na łamach „Tygodnika Powszechnego”, apel w którym m.in. wskazywano na niebezpieczeństwo nacjonalizmu polskiego. Na to wszystko nakłada się słabość demokracji polskiej, społeczna niechęć do parlamentaryzmu, sympatie dla rozwiązań autorytarnych, marzenia o silnym prezydencie, który wszystko załatwi i agresywny klerykalizm, który w przeszłości zawsze wchodził w alians z nacjonalizmem. Czy społeczeń-



stwo znajdujące się w takim stanie może otworzyć się na zewnątrz i okazać gotowość do „pojednania”?

Spółeczna baza „pojednania”, o której mówił premier Mazowiecki w 1989 r., w moim odczuciu ulegała raczej zawężeniu niż poszerzeniu. Obydwa społeczeństwa wydają się być zajęte własnymi sprawami, reformowaniem systemu lub zjednoczeniem, i wyjąwszy elitarne grupy, nie okazują specjalnego zainteresowania „pojednaniem”. Idea ta zawisła obecnie w próżni, nie jest nośna ani emocjonalnie, ani też intelektualnie. Napotyka ona wyraźnie na przeszkodę w postaci ksenofobii występującej zarówno w społeczeństwie polskim, jak i niemieckim. Nie została ona też właściwie, jak dotąd, ujęta w jakąś zwartą koncepcję. „Pojednanie” francusko-niemieckie było bardzo mocno wkomponowane w ideologię europejską, zgoda między Francuzami i Niemcami miała stanowić fundament, na którym zbudowana została nowa, zjednoczona Europa. Czy naród niemiecki i polski mogą się odwołać do jakiegoś wspólnego celu, który uruchomiłby wyobraźnię i skłonił do myślenia nowymi kategoriami?

ZBIGNIEW MAZUR

#### KILKA UWAG W ZWIĄZKU Z ANKIETĄ „PRZEGLĄDU ZACHODNIEGO”

Dobrze się stało, że redakcja „Przeglądu Zachodniego” skierowała do czytelników te trzy pytania. Wprowadzie były już one wielokrotnie wcześniej też wysuwane, ale stawiano je głównie na dziennikarski użytek i to w rozmaitym kontekście. Fakt ten niczym nie wpływa na ich dotychczasową aktualność. Stąd właśnie „Przegląd Zachodni”, pismo poświęcone problematyce niemieckiej jest szczególnie uprawnione do stawiania tego rodzaju pytań.

Można przyszykować ze ścisłego trzymania się zasady udzielania odpowiedzi na kolejne pytania, aby móc podjąć próbę skoncentrowania się na pewnych sprawach będących ważnymi dla przyszłego stanu stosunków polsko-niemieckich.

Oczywiście istnieje potrzeba, aby społeczeństwa polskie i niemieckie darzyły się nawzajem zaufaniem i utrzymywały dobrosąsiedzkie stosunki. Możliwe to jest tylko do zrealizowania w warunkach otwartych granic, możliwości współpracy, a zwłaszcza podejmowania wspólnych działań i to zarówno między instytucjami czy zakładami obu państw, jak też między pojedynczymi obywatelami. Głoszona przez niejednego dziesiątek lat bliskość społeczeństw Polski i NRD okazała się zupełną fikcją. Dopiero właściwie od dwóch zaledwie lat stwarza się warunki, aby Niemcy i Polacy mogli się lepiej poznać. Niewątpliwie doniosłą rolę w urzeczywistnianiu tego zbliżenia, będąc przy tym czynnikiem utrudniającym, jest fakt różnicy w standardzie gospodarczym w jakim żyją Niemcy, a w jakim żyje większość Polaków. Chyba jest trochę racji w powiedzeniu, że „był określa świadomość”. I tu zaraz podkreślić należy, że niekomunistyczne władze Polski podjęły od razu zabiegi, aby stworzyć co najmniej formalne warunki dla kontaktów społecznych między